Nr. 9. Rok III.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

Lwów, Czwartek 11 Marca 1880.

CZASOPISMO ILLUSTROWANE — WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. 60 ct.	rocznie	12 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 80 „	półrocznie	6 „ — „
kwartalnie	2 „ 40 „	kwartalnie	3 „ — „
miesięcznie	— „ 80 „	miesięcznie	1 „ — „

W Poznańskiem i Prusach 6 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 8 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi lub prenumerować w księgarni J. K. Żupanskiego w Poznaniu.

Numer pojedynczy 25 ct.

Redakcja i Administracja Dziennika dla Wszystkich przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełac należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji Dziennika dla Wszystkich we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



Ś. p. LUCJAN SIEMIEŃSKI

Zmarły w Krakowie w 1877 r.

(Rysowane podług fotografji z zakładu p. Rzewuskiego w Krakowie).

Z DOMU I ŚWIĄTYNI

przez

FR. K. MARTYNOWSKIEGO.

Znamy przeszłość naszą pod względem historycznego i politycznego rozwoju, wiemy również cokolwiek o kształceniu się samodzielnej myśli polskiej przez długi przeciąg stuleci, — najmniej za to posiadamy wiadomości o stronie artystycznej życia praojców. Zakochanym w bieżącym wieku zdaje nam sie, że tak, jak w przemyśle, tak w sztuce i pracami polepszeń nierównie wyżej stoimy od epoki Kazimierzów Wielkich, Zygmuntów, a tem wiecej Augustów, co sarmackiej braci w miejsce szabli, roztruhan podali w ręce...

Jakoż najczęściej zbyt fałszywo wygłaszamy poglady na minione wieki, uważając je ze stanowiska piękna.

Nie przeczę, iż znamy wybitniejsze pomnik. architektury, rzeźby i malarstwa, bądź przez naszych, bądź przez obcych mistrzów wykonane; — po nad to jednak nic więcej... Nie dosyć na tem: większa część naszej publiczności, rozprawiając czasami o sztuce, najczęściej najfantastyczniejsze wygłasza o niej pojecia. Tak n. p. słyszelismy nieraz zdanie, iż budowle z kopułami, do bizantyńskiego należą stylu, a romand kie pomniki arch.tektury, ochrzczono maurytańskiej zasady imieniem.

Jeżeli podobnego rodzaju sądy czesto spotykamy o pomnikach sztuki, zwłaszcza, architektonicznej, którą nazwalibyśmy powszechną własnością każdego umysłowo rozwinietego społeczeństwa, — tem mniej zatem możemy się spodziewać jasnego pojecia w kwestji, o ile sztuka uwydatniła się w urządzeniu domów naszych pradziadów i nie możemy się dziwić pewnemu lekceważeniu ducha średniowieczyzny i jego znamion. Jestto naturalnem tam, gdzie mało badano przeszłość pod względem jej artystycznego rozwoju.

Nie mówiąc już o niewystarczającem opracowaniu przez Stan. Potockiego historji sztuki Winkelmana — Sobieszczański nawet w dziele: „Wiadomości o sztukach pieknych w dawnej Polsce“ nie odpowiedział potrzebom w tym kierunku uważanym, raz dla tego, że gubi czytelnika w szczegółach, nie pozwalając mu tym sposobem wysnuć ogólnego, a wyczerpującego jednak na sztukę poglądu, powtóre, że sam niedokładnie określa charaktery artystycznych pomników, podciągając np. piekne budowy romańskie, powstałe w Polsce od końca X. do połowy XIII. wieku pod miano maurytańskiego stylu. Profesor znowu Łepkowski w książce „Zarys sztuki i jej dziejów“, pomimo wielu nader pieknych rzeczy w niej zawartych i zbadanych, — lekko bardzo traktuje między innemi artystyczne utwory rzeźby, architektury i malarstwa zrodzone w XVII i XVIII stuleciu.

Wprawdzie obecnie akademja umiejętności w Krakowie przygotowuje i ogłasza nader cenne materjały do dziejów sztuki w Polsce, — ale to są badania nader cenne dla uczonych, z których jednakże szersza publiczność nie odniesie żadnej moralnej korzyści. W kierunku tym wysługują się polskiej sztuce i niektóre wydawnictwa niemieckie *), ale i te nie mogą być dostępne ogółowi.

Co się zaś tyczy wewnętrznego urządzenia domu, w tej sprawie prawie nic nie zrobiliśmy. Taka np. publikacja, jak: „Wzory sztuki średniowiecznej“, któraby wiele nauczyć mogła, dla swej wygórowanej ceny mało komu dostępna, „Tygodnik Illustrowany“ i „Kłosy“ podają rzeczy urywkowo, Gołębiowski zaś w dziele „Domy i dwory“ i inni nasi pisarze w zakresie badań domowej przeszłości, zazwyczaj ledwo półgębkiem potrącają o stronę artystycznej przeszłości.

W obec takich przeto warunków, nie możemy się dziwić, że bardzo mała część publiczności posiada jakie takie wyobrażenie o sztuce i poczuciu piękna minionych stuleci. Jestto *terra incognita* dla większej liczby czytających; byłoby wiec rzeczą wielce pożądaną, aby pojawiło się dzieło, traktujące o wszelkich objawach piekna, tak obficie rozlanych w naszej przeszłości.

Kiedy w bieżącej chwili tak w domu, jak i za domem, niemal w każdym objawie życia myśl utylitarna przemawia, średnie wieki pierwiastek ten daleko ściślej łączyły z przymiotami piekna. Utylitaryzm i piekno szły tam częściej w parze ze sobą; znać oba te żywioły niemal na każdym sprzęcie, na każdej budowie, a tak nam jest nie rozwinięte, że równoważąc się z sobą, drobnemu nieraz szczegółowi nadają wdzięk artystyczny. To też patrząc na tego rodzaju zabytki, nasuwa się pytanie: jakim sposobem wyrodziły się te objawy piekna w domowych nawet sprzetach przeszłości, jakim sposobem artystyczna linja zakwitła zarówno na świątyni, pałacu i baszcie, jak na łyżce, stołku, skrzyni, i wielu podobnych przedmiotach?

Naszem zdaniem, nie można tego zjawiska inaczej wytłomaczyć, jak tylko wysokim artystycznym nastrojem ducha, który był własnością ogółu. Wieki, bowiem, średnie wytwarzając z siebie potężne, indywidualne formy myśli uplastycznione tak w życiu społecznym, jak w architekturze, rzeźbie i malarstwie, musiały czuć należycie ducha tych kreacyj, które pozostawiły po sobie; inaczej nie wycisnełyby tego prądu w przybraniu domu i świątyni, które tak wdziecznie do nas przemawia. Tylko duch twórczy mógł te objawy wyróżnić. (C. d. n.)

*) Wymieniamy tu między innemi: „Mittheilungen der k. k. Austrat. Commission zur Erforschung der Baudenkmale“, Wien.; *A. Essenvein* „Die Mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau; Schlesiens vorzeit in Bild und Schrift i t. d.

Kronika krajowa.

Niezwykłego powodzenia, jak na Lwów doznają odczyty publiczne urządzane przez towarzystwo pedagogiczne. Zgromadzają one znaczny zastęp szczególniej płci pięknej. Ostatni odczyt miał prof. Baranowski „O powieściopisarstwie“ — będzie jeszcze kilka, między innemi, wykładać będzie prof. Saweczyński.

Przemysł i sztuka.

W tych dniach zwiedziliśmy zakład p. Tadeusza Sokulskiego, jestto pracownia rzeźb i ornamentów drzewnych oraz dekoracji architektonicznych kościelnych. Do niedawna przemysł ten połączony z artyzmem, znajdował się u nas nietylko w stanie niemowlęctwa, ale jeśli istniał, to tylko traktowany był po amatorsku, wystawa jednak ostatnia we Lwowie pokazała, jak piękne, i nawet podziwu godne mamy pod tym względem materjały. Pracownia p. Sokulskiego bezsprzecznie należy do pierwszorzędnych w kraju. P. Sokulski zaczął pracować jako dyletant w r. 1868, i dopiero w r. 1876 urządził pracownię na wielką skalę, zaraz też w następnym roku otrzymał medal zasługi z wystawy lwowskiej — a w zeszłym roku medal srebrny z wystawy jarosławskiej. W tym krótkim przeciągu czasu pracownia p. Sokulskiego wykonała znaczniejszą liczbę robót na większą skalę przedsięwziętych, a mianowicie: ołtarz do kaplicy sióstr Felicjanek w Krakowie, ołtarz dla Felicjanek w Bełzie, ołtarz z drzewa dębowego ze rzeźbami złoconemi w semiuarjum łacińskiem we Lwowie, dwa boczne ołtarze w kościele św. Jura, rzeźby i złocenia do ołtarza w kaplicy na Kulparkowie, restauracja z drzewa wielkiego ołtarza u św. Jura, rzeźby i złocenia do gotyckich organów wykonane przez p. Śliwińskiego dla OO. Franciszkanów w Krakowie, modele do tablic napisów auli i profesorów w politechnice, oraz rzeźby w orzechu do mownicy w politechnice. Na uczczenie srebrnego wesela cesarskiej pary wykonał p. Sokulski orzechową kasetkę. Obecnie widzieliśmy pozaczynanych dużo robót, jak np. wspaniałe rzeźby, kruksztyny, kapitale z drzewa dębowego przeznaczone do szaf biblioteki na politechnice, jest też zaczęty wspaniały ołtarz z drzewa orzechowego do kaplicy pałacowej hr. Stanisława Potockiego w Jaru koło Brzeżan, do ołtarza tego robione są złocone ornamenta podług rysunku prof. Zacharjawicza i prof. Marconiego. W muzeum przemysłowem miejskiem znajdujemy kilka uwagi godnych robót z pracowni p. Sokulskiego, a mianowicie płaskorzeźba: św. familja z drzewa gruszkowego kopiowana podług fotografji z obrazu Müllera w pysznej rzeźbionej ramie z drzewa lipowego w stylu renaissance, znajduje się tam rama ażurowa w stylu florentyńskim, konsolki z drzewa czarnego i kilka ramek w stylu modernе. Nie wymieniamy wielu drobniejszych robót, których w pracowni p. Sokulskiego znajduje się wielka obfitość; z tego co się wyżej powiedziało, każdy przekonać się może, że pracownia powyższa rzeźbiarska i ornamentacyjna, znajduje się na stanowisku najzupełniejszego rozwoju, i że w największych robotach daje rękojmię wszelkich wymagań estetycznych — jako więc taka i jako zakład krajowy rozwijający się o własnych siłach, powinien —

zdaniem naszem, mieć szeroką klijentelę, która też o ile wiemy, co raz jest znaczniejszą.

Z Warszawy.

Trzydzieści przeszło lat minęło od czasu, gdy ręka Szopena ostatni raz poruszyła strunę fortepjanu i po raz ostatni dała słyszeć pełną melodji i uczucia nutę. Lecz choć tyle już lat temu zadźwiękła ostatnia nuta. palcami mistrza wydana, to przecież zarówno ona, jak i jej poprzedniczki, czarodziejską natchnienia potęgą panują wciąż nad sercami naszemi, przejmują nas wzruszeniem zawsze, czy to gdy — jak według słów poety „lekkie, dziwaczne a smutne“ tworzą mazurki, czy brzmią poważnie w polonezach, kryjąc ból pod hartem męskim, czy żywszem bije tętnem, strojąc się na tempo mazura, czy przesuwają się w walcu, niby wesołym, a tak mglistym, tak powolnym, a ognistym“, i w tak świetną przybranym formę, czy, jak dzwony, jęczą śpiewem przedpogrzebowym, czy skarżą się w nokturnach, czy „płyną do nieba, fantazjami tęskniące“. Natchnienie poety-muzyka wciąż gra na strunach sercowych i nie pozwala imienia Fryderyka Szopena okryć mgłą niepamięci,

To też, gdy w przeszło tydzień temu w południe miało się odbyć z nabożeństwem żałobnem odsłonięcie pomnika Szopena w kościele św. Krzyża, w Warszawie uczestników tej uroczystości zebrało się wielu,

A gdy się ozwały żałosne dźwięki które przed laty trzydziestu słyszał cmentarz „Père Lachaise“ w Paryżu, dźwięki marszu pogrzebowego, niejednego z obecnych ogarnął rzewny smutek, w niejednem oku nawet męskiem, zakręciła się łza...

Pomnik Szopena, odsłonięty w kościele św. Krzyża, umieszczony jest przy pierwszym filarze na lewo, od strony nawy. Wieńczy go popiersie także z białego marmuru.

Na tablicy grobowej, podtrzymywanej przez dwóch aniołków, widnieje napis:

„Gdzie skarb twój,
Tam i serce twoje“.
Św. Mateusz VI. 21.
Fryderykowi Szopenowi
Rodacy.

Urodzony 2 marca 1809 r. w Woli Żelazowej, umarł w Paryżu 17 paźdz. 1849 r.

Pod pomnikiem wmurowano poprzednio serce Szopena.

Kurjer krakowski. *(Ze świata muzycznego).* Czwarty wieczór muzykalny Towarzystwa muz. krakowskiego wyszczególniał się od poprzedzających wieczorków tak dobrym programem, jako też i starannem wykonaniem pojedyńczych numerów. Program zawierał:

1) „Róże“ Żeleńskiego, 2) Kwartet smyczkowy (D dur) Haydn'a i 3) „Śnieżyczkę“ Reinekego na chór żeński i fortepian.

„Róże“ napisał Władysław Żeleński na konkurs krak. Tow. muzycznego, a utwór ten w r. 1878 uwieńczony został 1szą nagrodą Towarzystwa. Jestto jeden z najlepszych chórów męskich, jakie literatura nasza muzyczna posiada; lecz z powodą ciągłej zmiany tonacji jest trudny do wykonania i wymaga już rutynowanych śpiewaków. U nas został chór ten wykonany przez uczniów szkoły choralnej Tow. muz., a podtrzymywany przez kilku starszych członków czynnych. Solo barytonowe wykonał uczeń Tow. p. Sołowij posiadający bardzo sympatyczny i dźwięczny głos.

Haydn'a kwartet 2 skrzypce, altówkę i wiolonczelę odegrali pp. Singer, Ostrowski, Patzke i Kątski. Kwartet ten dający obszerne pole do popisu dla pierwszego skrzypka, wykonany był zupełnie dobrze, a szczególniej p. Singer umiał wyzyskać swą partję ku zadowoleniu wszystkich. W p. Singerze posiada tutejsze Tow. muz. dzielnego nauczyciela i prawdziwego artystę, który ciągłą pracą nad sobą, wykazuje też coraz piękniejszy rezultat.

Wieczór zakończono „Śnieżyczką“ Karola Reinekego. Jestto bajka Roebera udramatyzowana, na sola sopranowe, altowe. chór żeński, fortepjan i deklamacja składa się z 10 części, a mianowicie:

a) Prolog (chór), b) pieśń Śnieżyczki (sopran), c) pieśń Karzełka Toma (alt), d) marsz Karzełków (fortepian), e) Kołysanka Karzełków (chór), f) Pieśń Toma (alt), g) pieśń Śnieżyczki (sopran), h) śpiew Karłów przy trumnie Śnieżyczki (chór), i) deklamacja z tow. fortepianu i zakończenie (chór). Muzyka przeplataną jest po każdym numerze deklamacją. Kompozytor tego utworu Reineke urodzony w r. 1824 w Altonie jest przedstawicielem szkoły racjonalnej. Wszystkie utwory tego kompozytora noszą na sobie piętno pracy wytrawnej, jaką tylko głęboko myślący i na idealną stronę kompozycji dbający artysta jest w stanie nadać swym dziełom. Z rozlicznych kompozycyj tego lubianego autora, prócz powyższej „Śnieżyczki“ zasługują jeszcze na szczególową wzmiankę jego 5 aktowa opera „Król Manfred“, „Baltazar“, „Hakon Jarl“ (na chór męski) i bajka na 3 głosy żeńskie „Dornröschen“. Pisał on i kwartety smyczkowe, uwertury, ale brak miejsca nie pozwala nam tu bliżej się rozszerzać, i dla tego wracamy do wykonanej „Śnieżyczki“. Budowa tej kompozycji jest jasną i prostą, a mimo to nader przyjemne robi wrażenie na słuchaczach. Solowe ustępy odśpiewały panny Beckman (sopran) i Schütz (alt) uczenica Towarzystwa; i obydwie oklaskami przyjęte zostały.

* W środę dnia 3 marca b. r. odbył się w sali hotelu saskiego koncert p. Carlo Giustiniani barytonisty, z współudziałem pp. Kątskiego (wiolonczelisty) i Bobińskiego (pianisty). Nie wdając się w rozbiór pojedyńczych numerów programu, wyznać, niestety, musimy, iż szumnie zapowiedziany ten koncert, nas zupełnie nie zadowolnił. Po włoskim śpiewaku i po włoskiej szkole spodziewaliśmy się czegoś więcej, niż co usłyszeliśmy. Głosowi brak metalu, pierwsze tony niepewnie intonowane — metoda zła.

Pan Zygmunt Kątski (syn ś. p. Apolinarego Kątskiego byłego dyr. konserwatorjum warszawskiego) nauczyciel krak. Tow. muz. odegrał piękny „Koncert“ Goltermana na wiolonczelę, z towarzysz. orkiestry, i wykazał, jak wysoko już posunięty u niego mechanizm na tym instrumencie i jak głęboko umie on wniknąć w ducha kompozycji. Koncert ten wykonał p. K. z całym artyzmem, z należytem cieniowaniem, i zasłużone zbierał oklaski. W artyście tym posiada Tow. muz. bardzo cenny nabytek.

W grze p. Bolińskiego, którego Tow. muz. z Warszawy, jako nauczyciela sprowadziło — podziwialiśmy znakomitą technikę, a szczególniej w walcu z Fausta; lecz gra ta ma mało uczucia, jest za zimna, i nie robi przeto wrażenia, jakby uczyniła, gdyby artysta ten nieco więcej ciepła — więcej duszy, nadal grze swojej. Żałujemy, iż program został zmieniony i nie usłyszeliśmy p. B. w Beethowenie.

Maurycy Sieber.

Plotki i nieplotki.

* Rzecz trudna, doprawdy do pojęcia — pewien obywatel z pod Lwowa, jak nam donoszą — całe życie brał tylko i pił wino od pana Królikowskiego ze Lwowa i obecnie choruje... na wodną puchlinę...

* Na koncertach lwowskich wchodzi w zwyczaj oryginalna moda — tę modę wprowadziły młode śpiewaczki, które pozwalają klaskać publiczności, ile się jej tylko podoba, a nie raczą wyjść na estradę... zapewne dla zadania większego szyku!

* Gdy w pewnem towarzystwie pytano kogoś, dla czego w naszych czasach zmniejsza się tak widocznie ochota do zawierania związków małżeńskich, zagadnięty odpowiedział:

— Pochodzi to ztąd, że obecnie damy podobne są do lilij polnych: nie szyją one ani przędą, a jednak odziewają się wspanialej, aniżeli Salomon w całym swym przepychu.

* Są ludzie, których się odprowadza aż na schody, dla tego... aby się przekonać, czy rzeczywiście odchodzą.

* W sklepie Boscowitza.

Wieśniak. Proszę pana optyka o okulary, bo mi tam baba zaniemogła na ślipie.

Subjekt. Dobrze, — nie wiem tylko, jaki numer potrzebnym jej być może.

Wieśniak (dobywając bilet loteryjny). A to już chyba ten, proszę pana. Wygraliśmy na niego ekstrakt, to może i babie na oczy pomoże.

* Na ulicy.

Doktor X. Jak się masz panie Pawle?

P. Paweł. Wybacz mi eskulapie i nie bierz mi tego za złe, mam się... bardzo dobrze.

ZŁAMANE ŻYCIE

NOWELLA

przez Zorjana.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały górzystą okolicę. Drzewa świerkowego boru zarysowały się na tle ognistego firmamentu na kształt olbrzymich postaci spoglądających z zadumą z wierzchołków i grzbietów gór na piękne doliny otulone płaszczem zmroku. Cisza panowała w około; tylko zdala dolatywały gubiące się w przestrzeni odgłosy dzwonków wracającego z pastwisk bydełka. Po skwarnym dniu lipcowym, miły chłód wieczoru orzeźwiał przyrodę; leciuchny wietrzyk muskał krzyszta-

*

łową powierzchnią strumyka, wijącego się przez parowy i rozdoły. Słońce zaszło już zupełnie. Kształty drzew zdawało się, wzrosły jeszcze i groźnie wystawały z ciemnego tła sklepienia. Z drugiej strony, z za góry wysunęła się blada twarz kochanka nocy: księżyca, olśniewając swymi srebrnemi promieniami wspaniałe stoki gór.

Na oświetlonym załomie skały, spadającej ku strumykowi, ujrzałem postać jakąś fantastyczną, odzianą łachmanami, opartą nieruchomie o stromą ścianę skały. Zbliżyłem się na kilkanaście kroków, ażeby się dokładniej temu zjawisku przypatrzeć. Był to mężczyzna. Włos długi spływał mu na ramiona szerokie, okalając bujnymi sploty chudą twarz bez cery, z której niepodobna było rozpoznać wieku. Z pod ciemnych brwi błyszczały nieruchomie w dół utkwione oczy, zapadnięte w głąb. Z zakroju twarzy, pomimo nędzy, malującej się na wystających kościach, znać było dawne piękno.

Strumyczek szemrał cichą modlitwę wieczorną, potem weselej zadzwonił po kamykach; czasem swawolnie poigrał z zwieszonym listkiem kwiatka, rosnącego na brzegu, to znowu pocałunkiem lśniącej swej fali wabił gałązkę schylonej brzozki, by popłynęła z nim ku dolinom — gałązka płocha, niby słucha głosu swawolnego kochanka, popłynie chwilkę z falą, potem zalotna tem szybciej ucieka do sióstr swych, gałązek srebrzystych.

Nieznajomy stał, jak posąg nieruchomy, tylko w oczach jego, co raz silniejszy płonął ogień. Powoli schylił się ku ziemi, przykląkł, pochwycił u stóp leżące skrzypce i z wzrokiem zatopionym w gwiaździste sklepienie, grał.

Ręką mistrza poruszone struny, cicho rozpoczęły pieśń jakąś nieznaną. Ciche tony zlewały się w harmonję smutku i tęsknoty. Pieśń rzewna całą wypowiadała pierś człowieczą; powoli zlewa się z bólem, i zdało mi się, że słyszę cichą boleść łez, padającą na zranione serce. Rzewność pieśni nikła, schły te czyste łzy, a ogień, co raz większy zapalał tę pieśń. Ogień wzrastał, pieśń opanowywała, co raz większa, silniejsza namiętność; skrzypce zdawały się wrzeć burzą, wtorującą piorunom, które ciskały oczy muzyka. Potem znowu łagodna odezwała się melodja, cicha prośba, błaganie — potem pauza... I znowu boleść okropna, jak mgnienie szarpnęła strunami, potem jęk straszny rozdzierający i cisza zupełna..

Muzyk rzucił od siebie skrzypce, upadł bezwładnie na twardą skałę, a wśród nocnej ciszy dolatywały mię łkania, płacz namiętny, konwulsyjny.

Nie przerywając ciszy, zbliżyłem się na odległość kilku kroków. Spoglądałem z współczuciem na nieznajomego wirtuoza, którego tajemniczą boleść odczuwało serce moje.

Nagle porwał się z ziemi, postąpił chwiejnym krokiem ku stromemu brzegowi strumyka, pochylił się ku niemu; jakaś myśl przebiegła mu przez rozpaloną głowę, postąpił krok naprzód, pochylił się jeszcze bardziej, gdy, jakby przypominając sobie coś wrócił do porzuconych skrzypiec, podniósł je, przycisnął do piersi i poskoczył ku urwisku.

Stanąłem przy nim.

Wstrząsł się cały, dziwnym, obłąkanym wzrokiem spojrzał na mnie, wyciągnął dłoń, jakby mię chciał usunąć z drogi. Ręce mu drżały, pierś wrzała wewnętrzną walką, przez gardło z trudnością dobył się głos stłumiony, w którym znać było wysilenie:

— Puść!...

Milcząc, wskazałem niebo. Opuścił powoli rękę wyciągniętą ku mnie; powoli zniżyły się kolana, usiadł i ręką podparłszy czoło zadumał się głęboko.

Milczenie trwało długo. Po długiej, długiej chwili, jakby ocknąwszy się ze snu, odgarnął włos długi, spojrzał na mnie przeciągle i wyciągnął dłoń.

— Zastąpiłeś mi drogę do śmierci — o c a l i ł e ś życie; mając na względzie wielkość tego ocalonego skarbu, wdzięcznym ci być powinienem... Życie wy nazywacie klejnotem, skarbem nieocenionym; tyś mi je darował, hojny z ciebie dawca... dajesz tak drogi skarb... który cię nic nie kosztuje... nie pomny, że ja może pod ciężarem tego skarbu złamię się, upadnę, a nie mogąc go unieść w całości, roztrwonię może po życia drodze, zmarnotrawię to wielkie mienie...

W głosie drżącym przebijała gorycz ironja i szyderstwo, a ręka wyciągnięta ku mnie sterczała tak dziwnie, złowrogo, martwo!

Po chwili złagodniał wyraz jego twarzy, pierś oddychała wolniej.

— Nie chcę być niewdzięcznym, tyś postąpił z najszlachetniejszych pobudek, więc dzięki ci, za współczucie i za ten objaw serca...

— Znam boleść, zatruwającą życie i pojmuję twoją, lecz przyjacielu, czyż godzi się wątpić w przyszłość i wyrywać się z jej kolei?

— ...Przyjacielu... któż to mię nazywa przyjacielem? to pierwszy raz w życiu słyszę ten wyraz... młodzieńcze, ty zwiesz mię przyjacielem, nie znając wcale, o, strzeż się mojej przyjaźni, bo za mną w ślad kroczy jedyny mój przyjaciel, zazdrosny okropnie... jego jednego tylko mam od kolebki, tym przyjacielem: n i e s z c z ę ś c i e!

— I ja go zaznałem w niejednej chwili młodocianego życia, ale czyż nie ma ukojenia w niczem? Tyś artysta, w piersi nosisz bóstwo, czyż tony muzyki nie złagodzą twego nieszczęścia, nie ukoją bólu; wszak artysta jedno tylko szczęście mieć powinien, a tem: sztuka!

— Tak muzyka koi me bóle, ona jest tą siłą, która powstrzymuje zdala rzucające się na mnie eumenidy, ale powstrzymuje na chwilkę tylko, dokąd pieśń nierozbudzi w mem sercu uśpionej żmiji, którą na wieczną pamiątkę dała mi kobieta — kochanka... A ja jedną tę tylko pieśń znam, wiecznie ona się powtarza...

Jęk wyrywający się z głębi piersi, przerwał mu mowę. Po chwili ocknął się znowu, wziął mię za rękę, pociągnął ku sobie z gorączkowym pośpiechem mówiąc:

Ocaliłeś mi życie, chodź posłuchaj jego historji, abyś wiedział, jak cenić ten czyn. (C. d. n.)

TEATR

Na dochód stowarzyszenia bratniej pomocy słuchaczów politechniki lwowskiej, odbyło się dnia 8 marca przedstawienie w naszym teatrze. Oprócz koncertu, w którym brali udział pp. Cieślewski, Chodakowski i Douillet (fortepjanista), pani Ładnowska wypowiedziała bardzo trudny utwór do deklamacji Ujejskiego p. t. „Niebezpieczna“, i odegrano dwie jednoaktowe sztuki: „Pierwsza miłość“ i „Morderca“. Obie te b l u e t k i oddawna obiegają wszystkie sceny polskie i bez wątpienia należą do lepszych drobnostek scenicznych, a nawet pierwszej nie brak pewnej psychologicznej przenikliwości, której autor dał dowód w kreśleniu charakteru głównej bohaterki „Pierwszej miłości“. Panna Wisnowska była właśnie tą powabną, a grymaśną Leokadją, w której serduszku rodzące się uczucie nienawiści dla „potwora“ mężczyzny, nie było nienawiścią, lecz p i e r w s z ą m i ł o ś c i ą... Widocznie ta p i e r w s z a m i ł o ś ć nieokreślone ma formy i objawy, tak, zresztą, jak bardzo często kobieta, u której obciążone brylantowemi łzami rzęsy, podnoszą się dlatego, aby spojrzeć... w lustro. Drugą ofiarą pierwszego strzału Kupidyna była panna Koźmian w roli Henryki, córki ogrodnika. Jeśli się nie mylimy, po raz pierwszy panna Koźmian kochała się na scenie; golębi ten debiut wypadł dla młodej artystki korzystnie — panna K. umiała nadać małej rolce pewien odcień sympatycznej melancholji i grała umiejętnie. Na scenie p i e r w s z a m i ł o ś ć nie jest trudna, jeśli się ma zarody talentu — w życiu, także trudna nie jest, ale za to niebezpieczna, dlatego właśnie, że nigdy prawie nie jest... ostatnia... W miłości także *l'apetit vient en mangeant...* Starą ciotkę, z poświęceniem swoich młodych wdzięków, starannie odegrała pani *C*orwin, od niejakiego czasu figurująca na afiszu przez *C*, chociaż znany tej nazwy herb polski, nigdy się inaczej nie pisał, tylko przez *K*. Pan Sobiesław był więcej ożywiony, jak zwykle — pp. Walewski i Dębicki, pierwszy studenta, drugi ogrodnika, grali dobrze.

„Morderca“, trochę mordował słuchaczów, bo szedł chropowato; oprócz panny Turczynowicz i p. Skalskiego, nikt dobrze roli nie umiał, ale, że grali tacy artyści, jak pani Parźnicka i p. Fiszer, więc naturalnie odtworzenie samych postaci, musiało być wyśmienite i było też w rzeczywistości. Nie można tego powiedzieć o panu Sobiesławie, który nie zdołał ożywić roli tym humorem, jakiego ona koniecznie wymaga od artysty. Za to panna Turczynowicz wyborną była subretką, a talent i zrozumienie roli, tryskały z każdego niemal słowa i gestu. P. Skalski, jak zwykle, zmuszał publiczność do serdecznego śmiechu. P. Galasiewicz grał brygadjera żandarmskiego, — i dobrze się ucharakteryzował.

Jeszcze słówko. Komitetowi zajmującemu się powyższem przedstawieniem, wystarczyło pieniędzy, grzeczności i taktu aż na trzy bukiety, podczas, gdy artystek występowało sześć. W takich razach daje się, albo wszystkim artystkom bukiety, albo żadnej. Prawda, że nauka życia, jest daleko trudniejsza od logarytmów, ale w elementarnych towarzyskich stosunkach,

rycerska delikatność i dobre wychowanie, nie powinny być obce młodym ludziom z wyższego zakładu naukowego, z któremi już społeczeństwo rachować się musi... *M. D. Ch.*

W zeszłym tygodniu odegrano jednoaktówkę p. t. „Dzwonki państwa Corneville“, którą pani Zimajer z francuskiego przetłomaczyła. Występowali w niej pani Zimajer i p. Lubicz. Był to prawdziwy koncert aktorski — sama sztuka jednak o zbyt śliskich efektach i konceptach często wcale niedwuznacznych, a przytem bez istotnej treści i bez satyrycznej nawet barwy, nie posiada żadnej wartości.

Pierwszy wieczór towarzystwa muzycznego pod dyrekcją p. Karola Mikulego, odbył się dnia 8 marca w narodnym domu. Publiczności nie było tyle, ile zwykle bywa na wieczorkach muzycznych, a to zapewne z tej przyczyny, że koncerta w tych czasach dość często mają miejsce. Program wieczoru niniejszego był następujący:

1. *Mozart.* Kwintet smyczkowy odegrany przez pp. Bruckmanna, Sch., Słomkowskiego, Kozłowskiego i Chmielińskiego.
2. *Mendelsohn.* Allegro brillant odegrane przez pannę Dz. i dyrektora Mikulego. Panna Dz. rozwinęła swój talent z prawdziwym wdziękiem — w grze jej przebija wyborna technika, i zrozumienie autora, co nas przekonywa, że traktuje sztukę z wyższego stanowiska.
3. *Rheinberger.* Śpiew na cztery głosy z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego i fortepianu. Na ogólne żądanie powtórzono go drugi raz, a to jest najlepszym dowodem wzorowego wykonanie i wzniosłej kompozycji.
4. *Chopin.* Trio odegrane prześlicznie przez pannę L., p. Bruckmana, i p. Chmielińskiego.

Bolesławicz.

Potoczne wiadomości teatralne. — Dola artystów prowincjonalnych. Biedni ci artyści prowincjonalni! nietylko głód im często dokucza, ale i niekiedy czekają ich nawet... guzy

Do miasteczka, które dla wypadków historycznych, stało się przysłowiowem, do Kocka w lubelskiem, zjechało przed kilku tygodniami „Towarzystwo dramatyczne“, złożone z osób... aż trzech.

Przy tak szczupłych liczebnie siłach artystycznych nie można oczywiście grać... „Antoniusza i Kleopatry“. Pojmując to dobrze, postanowili „artyści“ przedstawić publiczności... „Icka zapieczętowanego“.

Zaciekawieni tytułem sztuki nieznanej (!) mieszczanie — między którymi była pewna liczba izraelitów, — oraz okoliczni włościanie, zapełnili cały teatrzyk, urządzony w jednym z zajazdów. Oklasków, okrzyków zadowolenia dało się słyszeć mnóstwo. Nie wszystkim jednak podobał się „Icek zapieczętowany“, niektórym z widzów zdawało się, że to z nich wyśmiewają się na scenie.

To też, gdy w kilka dni później, podczas jarmarku, „artyści“, nie przeczuwając najmniejszego niebezpieczeństwa, znów powtarzali „Icka zapieczętowanego“, izraelici, zniecierpliwieni całkiem, zaczęli sarkać i odgrażać się w sposób, niezbyt dobrze wróżący.

Rządząc się zapewne zasadą *periculum in mora*, artyści spuścili wkrótce kurtynę, a po niejakim czasie dowiedziała się publiczność, iż przedstawienie nie zostanie dokończone, z przyczyn od dyrekcji niezależnych... gdyż artyści znajdują się już za miastem.

MIESZANIEC

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

PRZEZ

F. JESKE-CHOIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Już wieś dziedziczna Dołegów wyjrzała z za lasów krawędzi, już świeciły białe kominy małego dworku, a Tadeusz nie podnosił głowy, nie zadrżał. Wtem, na kościółku zapłakał dzwonek wieczorny, i marnotrawny syn podniósł się w powozie, drgnął, bo głos znany popłynął z ucha do serca i poruszył tam wspomnień, strunę najdźwięczniejszą. Tadeusz spojrzał przed siebie. Tam w dole śniła wieś cicha; stały jeszcze lipy poczciwe, pod których cieniem Tadzio marzył... i zasłonił twarz obiema dłońmi, bo uczuł, jak pobladła... i w piersi rwać się zaczął płacz, coraz to więcej, więcej, aż na powiekach łza płynęła... niewidziany dawno przybłęda. Łza to była pokuty, smutku i żalu po straconym raju młodości.

— Stań! Wojciechu, — rzekł Tadeusz do woźnicy — pojedziesz zwolna do wsi, ja pieszo dojdę.

Woźnica spojrzał zdumiony, stanął jednak, a kiedy pan wysiadał, powlókł się do wsi, mrucząc pod nosem: kat go rozumie.

Tadeusz szedł z opuszczoną głową przez wieś, minął dwór, a kiedy oko podniósł, ujrzał się nad brzegiem tego samego jeziora, nad którem stał niegdyś... lat siedm temu z przypiętemi u ramion skrzydły, z myślą w głowie tęskną, wyprzedzającą jutro, pojutro.

Dziś... a wczoraj? Zdaje się, że stinks myśli o tem, kiedy się tak dziwnie uśmiecha.

I znów, jak wówczas była jesień... smutna, rozpłakana. Nad brzegiem jeziora stały wierzby i brzozy z rozwieszonym włosem, po listkach płacząc, co szeleszcząc drżały wystraszone rychłej śmierci przeczuciem, i wody nie tak błękitne były, i niebo chmurne, załzawione. Tadeusz stanął, — ale okiem nie poszedł na drugi brzeg jeziora, gdzie szumiały, wiecznie młode sosny, myślą nie sięgnął po za widnokrąg... stał niemy, smutny, jako jedno z tych drzew bezlistnych, jako swój między swymi. Nie ma was, nie ma, kwiateczki małe serca mego, ani was nie ma, marzeń roje, coście dziecinie — sierocie złociły dni samotne, ani was, myśli wysokolotne, coście orlami wzbijały się, dokąd nie sięga zwyczajnego człowieka oko, nie ma was, nie ma. I jak brzoza biała stoję nad brzegiem drugim tego morza wielkiego, które życiem zowią, i jak brzoza opuszczam dłonie bezradny, niemocny do zbłądzonego podobien podróżnika, który wyszedł, aby złota szukać, a nie znalazł nic prócz błota, więc rozżalony pobiegł na drogi rozstajne, chcąc przeciąć nić żywota, co stracił dla niego wszelki urok. Szczęście za górami, szczęście za górami! Tak pewno i arab, pod cudnym namiotem swego nieba siedząc, o dalekiej marzy północy i za ciasno mu w ojczyźnie, za zimno, więc tęskni do krain srebrnych; tak eskimos pragnie odetchnąć wonnem Włoch powietrzem, tak wszyscy i wszyscy, aż dolecą, jak ptaki, i jak ptaki z tęsknotą wracają do łanów i puszcz własnych, ale lotniej.

Szczęście za górami? Wszakżeż nikt tam ramion nie wyciągnął do mnie, nikt łzą moją nie płakał, albo weselem się radował! I otóż stoję i patrzę po za siebie i mogiły widzę jedynie, w których śnią wszystkie młodości marzenia, a na nich, na mogiłach chwieją się, wonne kwiatki wspomnienia, łzą moją podlane. Takim kosztem okupuje człowiek doświadczeniem i wiedzę dobrego i złego, kosztem utraty cudownych wieczorów, marzeń pełnych, kosztem zniknięcia wszystkich tych krain poezji, choć ułudnych, ale niewymowne dających szczęście tym, którzy umieją żyć pod ich niebem, w ich wonnych gajach!

Tak szeptał Tadeusz, a szept jego mieszał się z szelestem trzciny i listków opadłych... bo był do ich pieśni tak podobien, albowiem płaczem był duszy rozżalonej.

— Tadeusz! Tadeusz!.. zawołał ktoś obok rozrzewnionego wędrowca, i zanim Tadeusz zwrócić się zdołał, już uczuł na piersiach ciepłą woń ust kochających.

Była to Wanda...

. . . .

Jednak, ani Wanda, ani ojczyzny ciepły oddech — nie wróciły Tadeuszowi młodości i życia. Zobojętniał na wszystko, mając do losu urojony żal.

Ożeniono go z Wandą — kazano mu być gospodarzem, potem, kiedy syn przyszedł, ojcem; był wszystkiem, bo nie smakował w niczem. Kiedy mu zarzucano obojętność, uśmiechał się bez wyrazu.

Po latach nie wielu, umarł z tym samym uśmiechem... nawet w śmierci obojętny. Wrócił do ziemi, jak owoc, przedwcześnie opadły, nikomu pożyteczny, a sobie ciężarem przez całe życie. Takich połowicznych natur dziś bardzo wiele.

Kronika zagraniczna.

Wzniesienie pomnika Rzeczypospolitej, wzniesionego w Paryżu przed gmachem Instytutu, nastąpiło dnia 24. lutego. Uroczystość ta odbyła się bardzo skromnie, o godzinie 8 rano, zdjęto płótno, tak, że obecną była przy tem garstka ludzi wypadkiem przechodzących tamtędy. Sam pomnik zrobiony był jeszcze w r. 1848, ale wówczas nie został postawiony, za cesarstwa zaś, leżał w jakimś składzie. W roku przyszłym dopiero, jeden z członków rady municypalnej paryzkiej, zwrócił uwagę rządu na to i prosił, ażeby polecono pomnik postawić na jednym z placów Paryża. Pomnik ten wykuty jest z marmuru i jest wysoki na dwa metry, głowa samego posągu ozdobiona jest dyademem

z gwiazdą, na której mieści się napis „Rzeczpospolita francuzka“, w lewej ręce posąg trzyma miecz.

Z Ameryki. Syn jenerała Granta ożeni się wkrótce z panną Joanną Hood, bogatą Amerykanką, która wniesie mu 2,500.000 dolarów posagu.

Nie dawno pewien obywatel Nowego-Świata, nazwiskiem Greenback, skazany został za morderstwo na szubienice. Prezes sądu odznaczył się w tym wypadku szczególną uprzejmością. „Panie Greenback — rzekł słodko — przysiegli uznali, że jesteś winien, prawo zaś wymaga, abym skazał cię na szubienicę. Pragnąłbym objaśnić dokładnie pana, oraz przyjaciół twoich, że to nie ja właściwie wydaję wyrok śmierci, lecz sąd przysięgłych, czyli prawo. Teraz do rzeczy! W jakim w dniu panie Greenback życzyłbyś sobie być powieszonym? *P. Greenback*: Chciałbym, żeby się to odbyło, jak najprędzej. Pozostawiam panu wybór dnia; wszystko mi to jedno, jaki wyznaczysz. *Sędzia*, nieco zdziwiony, tonem ojcowskiej dobroci: Zastanów się panie Greenback. Szubienica przecież nie jest drobnostką. Dopóki jeszcze żyjesz milo mi będzie oddać panu usługe i tyle zostawić ci czasu do rozporządzenia, ile to jest możebnem. *P Greenback*: Powtarzam, wszystko mi to jedno. *Sędzia*, zwracając sie do szeryfa: Widzisz panie szeryfie, że nie obchodzi to wcale pana Greenback, w którym dniu bedzie powieszonym. Bądź więc tak grzecznym i przekonaj się, czy od dziś za miesiąc nie wypada niedziela. *Szeryf*, przejrzawszy kalendarz: Nie, od dziś za miesiąc mamy czwartek. *Sędzia*. A więc doskonale, panie Greenback. Jeśli nie zrobi to panu różnicy, będziesz powieszony od dnia dzisiejszdgo za miesiąc o połudnlu. *Prokurator* zgorszony postępowaniem sędziego, obrażającem powagę sądu, uważa za stosowne wystąpić z uwagą: Panie prezesie, zwyczaj nakazuje w podobnych wypadkach odczytać wyrok formalny, aby skazany zrozumiał całą ważność położenia, żałował za swe winy i myślał o karze, jaka czeka na tamtym świecie. *Sędzia* uśmiechając się z łagodnością ojcowską: O, panie prokuratorze! jestem najpewniejszy, że pan Greenback wszystko to wybornie pojął. Nieprawdaż panie Greenback? — „Naturalnie — bardzo naturalnie“ — odpowiedział p. Greenback z grzecznym ukłonem.

Kanał Panama zdaje się, że przyjdzie stanowczo do wykonania. Inżynierowi mianowani przez Lessepsa do zbadania proponowanej drogi kanału, złożyli już swoje sprawozdania i obliczają koszta budowy na 843 milionów franków. Lesseps zamierza teraz wydać odezwę do amerykanów, z zaproszeniem do udziału w subskrypcji tak, aby połowa potrzebnej sumy dostarczoną została przez Europę, a połowa przez Amerykę. Budowa kanału potrwać ma lat ośm. Lesseps udał się do Nowego Jorku.

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne.

Blisko przed 40 laty zaginął słynny obraz Rembrandta, malowany przez tegoż mistrza 1656 r., a przedstawiający dr. Jana Deymanna, sekcjonującego umarłego. O obrazie tym wiedziano tylko, że r. 1723 w czasie pożaru pewnego był uszkodzony i, że r. 1841 był w posiadaniu p. T. Chaiplin w Londynie. Otóż wedle notatki słynnego Georges Wallis, obraz pomieniony po śmierci Pryce Owena w Londynie, w posiadaniu którego się znajdował, nabyło na własność South-Kensington-Museum, gdzie obecnie to cenne arcydzieło, stałe pomieszczenie znalazło.

Taniec pośród mieczów, głośny obraz Siemiradzkiego, obecnie wystawiony na widok publiczny w Berlinie, nabył hr. Orłowski. W Poznaniu ten obraz ma być także wkrótce wystawiony.

W wydanych świeżo dziełach Jakóba Leopardego, poety włoskiego, znajduje się szkic poematu, którego bohaterem miał być Tadeusz Kościuszko.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Lew. w Krakowie. Utwory pańskie: „Bądź zdrowa“, „Dzionek“ i „Co mam na świecie“ — drukowane w naszem piśmie nie będą — wszakże nie znaczy to, aby nie znamionowały one pewnego talentu, który rozwinąć się może przez głębsze obserwacje, naukę i pracę; nadto forma wierszy pańskich jest pospolita — trzeba się wczytywać w arcyutwory nowych poetów. Prosimy przysłać inne próbki — może która z nich nada się do druku. Całkowite nazwisko dla redakcji, jest koniecznie potrzebne.

C. k. uprzyw. kolej  galic. Karola Ludwika.

L. 2387.

DONIESIENIE.

W taryfach dla ruchu zbożowego rumuńsko-galicyjsko-niemieckiego, zaprowadzonych z dniem 1go a względnie 20 stycznia b. r. zaszły niektóre modyfikacje jak n. p. zmiana taryfowania artykułu „słód“ jako też prostujące podwyższenia poszczególnych pozycyj frachtowych pod względem czego udzielają bliższych wiadomości nasze stacje związkowe.

Wiedeń dnia 16go Lutego 1880.

(1—1) Generalna Dyrekcja.

K. Mieczkowski

we Lwowie przy ulicy Grodeckiej l. 79.

poleca **na święta** WINA w butelkach od 35 ct. do 1 zł. i na litry różnego rodzaju.

Szynki i różne wędliny.

Cukier, kawę, migdały, rodzenki, słowem wszystko, co tylko w zakres korzennych artykułów wchodzi, po cenach umiarkowanych. Wszystkie zamówienia z prowincji uskutecznia szybko i sumiennie. (388-4-1)

H. SCHAPIRA

rytownik i pieczętarz

Lwów, ulica Kopernika liczba 3,

Robię uwagę, iż na tej samej ulicy jest także firma p. Schapiry, który ze mną nie ma żadnych stosunków.

W mej pracowni wykonuję wszelkie w zakres rytowniczy wchodzące rzeczy. Herby po najtańszej cenie. Wszelkie zamówienia uskuteczniam szybko i sumiennie. (390-4-2)

P. T Mamy zaszczyt niniejszem zawiadomić, że dla szanownych naszych klientów w Galicji i Bukowinie otworzyliśmy we Lwowie u **Eliasza Herters** przy ul. Kopernika l. -, **SKŁAD PIWA**, którego w każdym czasie dostać można, i gdzie znajdować się będzie wielki zapas świeżego, wyśmienitego PIWA w beczkach i flaszkach. Z szacunkiem *Hamburger, Singer et Cp.* browar w Ołomuńcu. Ołomuniec w styczniu 1880 r. (387-2-1)

Magazyn i pracownia obuwia dla dam, mężczyzn i dzieci **A. Fried** Lwów, plac Halicki l. 13. poleca swe trwałe a tanie i gustowne wyroby. Z prowincji na miarę uprasza zużyty bucik. (374-12-2)

Na Święta Wielkanocne

poleca nowo urządzona **CUKIERNIA**

Jana Müllera

przy placu Marjackim

najsmaczniejsze przekładańce, baby parzone, kołacze, torty, mazurki, serniki, makowniki i marcepany

Najpiękniejsze pisanki, baranki i inne bardzo piękne okazy zastosowane do świąt.

O każdej porze najsmaczniejsza kawa, herbata, czekolada i lody.

H. T. **Rosenfeld** przy ul. Jagiellońskiej l. 19. Zakład malarski i lakierniczy, wykonuje wszelkie w zakres tego wchodzące rzeczy po miernej cenie. Wszelkie zamówienia uskutecznia szybko, przytem w deseniach i rysunkach najnowszych w różnych stylach poleca masę metalową na wilgotne ściany. (370-4-2)

Jan Lückendorf przy ul. Ochronek l. 7. poleca swoją fabrykę powozów, wózków różnego rodzaju i sań z najlepszego suchego materjału i podług najnowszego fasonu wykonane, i po najtańszej cenie. Wszelkie reperacje przyjmuje, oraz zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie podług życzeń. (369-4-2)

ŚWIEŻE NASIONA

jarzyn, traw, roślin pastewnych, lucerny francuskiej, buraków olbrzymich i wszelkich ekonomicznych z ostatniego zbioru

poleca (385-3-1)

GŁÓWNY SKŁAD NASION

Teofila Łuckiego

we Lwowie plac Halicki l. 15 (w gmachu Banku hipotecznego).

Cennik główny odsela się na żądanie franco.

N. Adler poleca swój skład SUKNA i wszelkich towarów wełnianych modnych, we Lwowie plac Marjacki l. 9. (389-4-1)

Józef Satalecki

zegarmistrz w Krakowie

w Rynku l. 11, obok księgarni Friedleina. Poleca swój obficie zaopatrzony magazyn zegarów od lat kilkudziesięciu w którym posiada wszelkiego rodzaju zegary, zegarki kieszonkowe złote i srebrne najnowszego fasonu po najumiarkowańszej cenie.

Przytem P. T. Publiczność raczy zwrócić uwagę, na magazyn p. Sataleckiego, i nie bierze przez omyłkę firmę sąsiednią za firmę p. Sataleckiego jak do tej pory się praktykowało, ponieważ wszelkie reperacje, jak i za nowy towar kupiony, p. Satalecki daje gwarancję za dobroć i trwałość na lat dwa.

(350-?-2)

Księgarnia **J. M. Himmelblaua** w Krakowie poleca:

Kodex karny austrjacki, cz. I. o zbrodniach zlr. 1.60. — *ABC* w 24 kolor. obrazk. królów polskich i sławn. ludzi opr. 1 zlr. — *Jachowicza* Bajki i powiastki, z ryc. Kossaka, Gersona itd. karton. na zwycz. pap. zł. 1.50 na wel. zł. 2. — *Lenartowicza* Wybór poezji, 4 tomy, wyd. nakł. autora na wel. pap. zł. 4. — *Rychlicki*, Tadeusz Kościuszko i rozbiór Polski, ilustr. zł. 3. — *Poczet* książąt i królów polskich z 39 wizer. i krótką chronologią na ark. 80 c., toż samo kolor. 2 zł., kolor. i na płótnie z drążkami 3.50 — *Siemieńskiego* Wieczory pod lipą wyd. 10 1 zł., *Tegoż* W. Pol i jego poetyczne utwory 2.50. — *Wasilewskiego* Poezje, wyd. kompl. z chromolit. okładką 2 zł. (329-12-2)

Wszystkie powyższe artykuły wydane są w Krakowie i są do nabycia w większych księgarniach, jak również u nakładcy, albo za nadesłaniem należytości wprost, lub za zaliczką.

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński. Z drukarni K. Pillera.

Lwów. — Czwartek, 11 Marca 1880 r.

Dodatek powieściowy
do
DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

przez

HEKTORA MALOT

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy patrz Dodatek Nr. 8).

W zwykłym czasie, nie było naszym zwyczajem zatrzymywać się w najlepszych oberżach, które by swą bogatą powierzchownością zapowiadały wygodny nocleg i smaczny posiłek; przeciwnie, stawaliśmy zawsze w biednym jakim domu, na początku wioski lub na przedmieściu, skąd byliśmy pewni, że nie odepchną nas, ani też wypróżnią kieszeni.

Lecz tym razem inaczej się stało; Vitalis nie zatrzymując się wcale zmierzał prosto ku wspaniałej oberży, przed którą jaśniał piękny szyld złocony. Przez otwarte drzwi kuchni widać było ogromny stół, założony cały rozmaitemi rodzajami mięsa, a z szeregu miedzianych rądli ustawionych na kominie, unosiły się delikatne chmurki pary, wydzielające miły zapach przyjemnie łaskoczący nasze wygłodzone żołądki.

Vitalis przybrawszy swój ton „wielkopański“ nie zdejmując kapelusza, z głową podniesioną do góry zażądał pokoju wygodnego i rozpalenia w nim bezzwłocznie ognia.

Z początku oberżysta, człowiek okazałej postawy, nie raczył nawet spojrzeć na nas, lecz znalezienie się mego pana oddziałało na niego i wydał polecenie zaprowadzenia nas do pokoju.

— Kładź się do łóżka jak najprędzej — rzekł do mnie Vitalis, gdy tymczasem służąca rozpalała ogień na kominku. Stanąłem zdziwiony: dla czego się miałem kłaść? Kiedy ja byłbym wolał zasiąść za stołem.

— Spiesz się — powtórzył Vitalis.

Nie było rady, musiałem posłuchać.

Na łóżku leżała pierzyna, Vitalis przykrył mnie nią po samą brodę.

— Staraj się rozgrzać, dorzucił, a im ci będzie goręcej tem lepiej.

Pomyślałem sobie w duchu, że to rozgrzanie daleko było potrzebniejsze Joli-Coeur'owi, aniżeli mnie, gdyż mnie wcale zimno nie było. Leżąc tak, rad nie rad spoglądałem na Vitalisa, który ku wielkiemu zdziwieniu posługującej dziewczyny, obracał małpkę przed ogniem na wszystkie strony, jak gdyby ją chciał upiec.

— Czy rozgrzałeś się już? — zapytał Vitalis po chwili.

— Duszę się.

— Właśnie tego potrzeba.

I zbliżywszy się szybko, włożył mi w łóżko małpkę, zalecając, by ją do siebie przytulać.

Biedne zwierzątko zwykle tak krnąbne, gdy je się zmuszało do wykonania czegoś, co mu się nie podobało, teraz znosiło wszystko cierpliwie i leżało spokojnie obok mnie, a ciało jego nie było już chłodnem, lecz paliło jak węgiel.

Vitalis wszedł do kuchni i wkrótce powrócił, niosąc kufel grzanego z cukrem wina. Usiłował on zmusić Joli-Coeur do wypicia kilku łyżeczek tego napoju, lecz małpka nie była zdolną roztworzyć zaciśniętych zębów i spoglądała tylko na nas smutnie swemi błyszczącemi oczyma, jak gdyby prosiła, aby jej nie męczyć, a równocześnie wyciągała łapkę z pod pierzyny, podając ją nam.

Rozmyślałem, co mógł znaczyć ten ruch powtarzany przez nią ciągle, gdy mnie Vitalis objaśnił.

Przed wstąpieniem mojem do jego truppy, Joli-Coeur chorował na zapalenie płuc i puszczano mu krew; otóż teraz czując się znów niezdrowym, wyciągał łapkę przypominając środek, którym go już raz wyleczono.

Czy to nie było wzruszającem?

Vitalis też nietylko się czuł wzruszonym, lecz i mocno zaniepokojonym.

Widocznie Joli-Coeur był chorym, a nawet musiał być bardzo cierpiącym, skoro nie chciał pić wina z cukrem, które tak lubił.

— Wypij wino Romciu, — rzekł Vitalis — i nie ruszaj się z łóżka, a ja pójdę do doktora.

Muszę wyznać, że i ja także lubiłem bardzo ocukrzone wino, a w dodatku okrutnie byłem głodny; nie czekając też powtórzenia rozkazu, wychyliłem kufel co do kropli, a zakopawszy się napowrót pod pierzynę, rozgrzałem się tak, że w istocie o mało się nie udusiłem.

Vitalis wkrótce powrócił, prowadząc za sobą jakiegoś pana w złotych okularach. Był to doktor.

Pan nasz obawiając się aby ta znakomita osobistość nie odmówiła swej rady, dowiedziawszy się, że ją wzywają do małpy, nie wspomniał wcale kto jest chorym. Doktor też zobaczywszy mnie w łóżku czerwonego jak piwonja, zbliżył się do mnie i kładąc rękę na mej głowie, odezwał się poważnym głosem:

— Uderzenie do głowy — i kiwał przytem głową w sposób nie zapowiadający nic dobrego.

Widząc, że czas wyprowadzić go z błędu, gdyż inaczej gotów mi krew puścić, wtrąciłem nieśmiało:

— To nie ja jestem chory.

— Jakto nie chory? To dziecko mówi od rzeczy, widocznie w gorączce.

Nie odpowiadając dłużej, odchyliłem nieco pierzyny, wskazując Joli-Coeur'a trzymającego mnie za szyję.

— Oto jest chory, — rzekłem.

Doktor cofnął się parę kroków, a zwracając się ku Vitalisowi, wykrzyknął:

— Małpa! Jakto dla małpy śmiałeś mnie fatygować i to jeszcze w taką niepogodę!

Sądziłem że wyjdzie rozgniewany.

Ale nasz pan zręczny to był człowiek i nie tak łatwo tracący przytomność umysłu. Grzecznie i układnie powstrzymał doktora, a następnie wytłomaczył mu położenie rzeczy, opowiadając jak zostaliśmy zaskoczeni śnieżną zawieją i jak przerażony wyciem wilków Joli-Coeur, uciekł na drzewo, gdzie się przeziębił.

— Zapewne, pacjent jest tylko małpą; lecz jakaż to małpa rozumna! to dla nas towarzysz i przyjaciel! — mówił Vitalis z przejęciem. Jakże tu powierzyć takiego znakomitego aktora w ręce zwyczajnego wiejskiego weterynarza, skoro wszystkim wiadomo, że te osły nic nie umieją, a tymczasem każdy wie, że wszyscy właśnie doktorzy są ludźmi wysokiej wiedzy i chociażby który z nich był nawet mieszkańcem najnędzniejszej wioski, to gdy zastukasz do jego drzwi, możesz być pewnym znalezienia wspaniałomyślności i dobrej rady. A nakoniec chociaż małpa jest tylko zwierzeciem lecz według naturalistów, ma ona tyle podobieństwa z człowiekiem, że podlega wszystkim właściwym temuż cierpieniom. Czyż więc nie jest rzeczą ciekawą badać z punktu naukowego w czem te choroby zgadzają się lub różnią ze sobą?

Zręczni to pochlebcy ci włosi, doktor też wkrótce odsunął się od drzwi, a zbliżył do łóżka.

Podczas przemowy Vitalisa, Joli-Coeur odgadując widocznie doktora w panu o złotych okularach, najmniej z dziesięć razy wyciągnął łapkę.

— Patrz pan, — rzekł Vitalis — co za rozum w tej małpie, wie, że pan jesteś doktorem i podaje rękę abyś ją zechciał wziąść za puls.

To już ostatecznie przekonało uczonego męża.

— W końcu, może to i ciekawy fakt, — mruknął.

Niestety! dla nas był on nader smutnym i niepokojącym: biednemu Joli-Coeur groziło zapalenie płuc.

Doktor ujął drobną łapkę tylokrotnie wyciąganą ku niemu i zapuścił w nią lancet, a Joli-Coeur nie jęknął nawet, wiedział bowiem, że to go miało wyleczyć. Następnie przepisano okłady, synopizma, lekarstwa i ziółka.

Naturalnie nie pozostałem dłużej w łóżku, lecz pod kierunkiem Vitalisa objąłem obowiązki infirmera przy naszym chorym.

Biedny Joli-Coeur lubił moje usługi i wynagradzał mnie za nie wdzięcznem spojrzeniem, mającem prawdziwie ludzki wyraz.

On dawniej tak żywy, przekorny i swawolny, wiecznie w ruchu i płatający nam bezustannie rozliczne psoty, teraz leżał bezwładny z wzorową łagodnością. Zdawało się, że żądał objawów naszej przychylności, a nawet dopominał się o przyjaźń pudla, który dawniej tylokrotnie bywał jego ofiarą.

Vitalis nie mówił ze mną nigdy o interesach i o sprzedaży zegarka na kożuszek dla mnie, dowiedziałem się tylko przypad-

kowo, lecz w trudnych okolicznościach w jakich znajdowaliśmy się obecnie, uznał za właściwe odstąpić nieco od reguły.

Pewnego poranku wracając ze śniadania, gdy ja przez ten czas siedziałem przy Joli-Coeur, którego nie zostawialiśmy nigdy samym, powiedział mi, że oberżysta zażądał zapłacenia rachunku, po dopełnieniu czego pozostało mu całego kapitału zaledwo pół franka.

— Co robić dalej?

Naturalnie na to zapytanie nieumiałem dać odpowiedzi.

Vitalis zaś jako jedyny środek mogący nas wyprowadzić z tego położenia, uważał przedstawienia, które wypadało dać tego samego jeszcze wieczora.

Przedstawienie bez Zerbino i Dolce, bez małpki! wydawało mi się to rzeczą najzupełniej niemożliwą.

A przecież nie mieliśmy nic innego do wyboru i nie mogliśmy w zniechęceniu zatrzymywać się przed tą trudnością, gdyż bądź co bądź trzeba było ratować Joli-Coeur'a, a licząc wizyty doktorskie, lekarstwa, zajmowany pokój, opał, wypadało nam zebrać koniecznie co najwiecej czterdzieści franków. Wtedy zapłacony oberżysta, widząc u nas pieniądze, kredytowałby znów dalej.

Zebrać czterdzieści franków w tej wiosce, podczas takiego zimna, przy tak nędznym stanie naszej trupy, to będzie prawdziwą sztuką!

A jednak Vitalis nie namyślając się dłużej zajął się bezzwłocznie urzeczywistnieniem swego zamiaru. I podczas gdy ja pilnowałem chorego, on wynalazł miejsce w szopie targowej, ponieważ przedstawienie pod gołem niebem dla silnego mrozu nie było możliwem; napisał i porozlepiał afisze, urządził scenę z kilku desek i odważnie wydał ostatnie pięćdziesiąt soldów na świeczki, które następnie poprzekrawał na połowę, by tym sposobem powiększyć oświetlenie naszej teatralnej sali.

Widziałem go przez okno chodzącego bezustannie tam i napowrót po śniegu i nie bez pewnego niepokoju usiłowałem odgadnąć jaki też będzie program naszego przedstawienia, wkrótce dowiedziałem się o tem, gdy wiejski dobosz, przystrojony w czerwone kepi, zatrzymał się przed naszą oberżą i po głośnem zabębnieniu przeczytał afisz. Vitalis nie szczędził w nim najprzesadniejszych obietnic, była tam mowa „o słynnym na cały świat artyście“ co się odnosiło do pudla Capi — „i o cudownym młodym śpiewaku“ którym to ja właśnie być miałem. Lecz najciekawszą część stanowił ustęp zawiadamiający, iż nie naznaczono cen na miejsca, polegając w tem na wspaniałomyślności widzów, którzy zechcą zapłacić dopiero po skończonem przedstawieniu, gdy zobaczą, usłyszą i przyklasną.

To mi się zdawało zbyt śmiałem, bo czy nam tylko dadzą oklaski? Capi w istocie godzien był sławy. Lecz ja o mej cudowności nie zupełnie byłem przekonanym.

Na odgłos bębna Capi szczeknął radośnie a ja przygotowałem arfę; czas już był udać się do szopy. Naniecilem na kominku suty ogień, układając grube polanka drzewa by wystarczyły przez czas naszej nieobecności, mającej trwać dość długo i otuliłem starannie kołderką płaczącą i całującą mnie serdecznie małpkę.

W drodze pan mój objaśnił mnie, czego odemnie oczekiwał. Naturalnie nie mogło tu być mowy o zwykłych naszych przedstawieniach, skoro brakowało do nich główuych aktorów, ja więc i Capi mieliśmy teraz wykazać całą naszą umiejętność i gorliwość. Szło bowiem o zebranie czterdziestu franków! A czterdzieści franków nie mała rzecz.

Vitalis wszystko przygotował, pozostawało już tylko zapalić świece, lecz tego zbytku nie mogliśmy sobie pozwolić, zanim sala nie zapełni się prawie zupełnie, z obawy, aby oświetlenie nie zgasło przed końcem przedstawienia. Podczas gdyśmy wchodzili do teatru dobosz po raz ostatni przebiegał jeszcze ulice wioski a głos bębna dochodził chwilami aż do nas wyrazistszy lub słabszy stosownie do odległości ulic.

Po skończeniu mego przebrania i stroju Capi, stanąłem za filarem by się przypatrzeć napływającej publiczności.

Wkrótce bębnienie zbliżyło się tuż do nas i równocześnie usłyszałem w ulicy głuchy szmer. Był to odgłos kroków gromady dzieciaków, postępujących w takt za doboszem. Dobosz nie przerywając bębnienia, stanął pomiędzy dwiema lampami, oświetlającemi wejście do naszego teatru i nic już nie brakowało, tylko, aby publiczność zajęła przygotowane miejsca.

Ach! jakże ona napływała powoli, a przecież dobosz z wesołym zapałem nie przestawał wybijać apelu. Jak mi się zdawało chyba już wszystkie wiejskie dzieciaki musiały się zgromadzić, lecz to nie oni mogli nam dać czterdzieści franków, nam trzeba było ludzi zamożnych i szczodrobliwych. Nareszcie, chociaż sala nie zapełniła się jeszcze, pan mój uznał za właściwe zacząć przedstawienie ze względu na tę niepokojącą kwestję oświetlenia.

Ja wystąpiłem najpierwszy, śpiewając przy akompanjamencie arfy, lecz chcąc być zupełnie szczerym, wyznać muszę, nie zbyt sute otrzymałem oklaski. Capi za to, o wiele był szczęśliwszym, przyklaśnięto mu kilkakrotnie i to z całym zapałem, dzięki też jemu, przedstawienie skończyło się nie tylko wśród hucznych brawo, lecz nawet tupań.

Teraz nadeszła stanowcza chwila i gdy ja na scenie przy muzyce Vitalisa, wykonywałem jakiś hiszpański taniec. Capi z miseczką w zębach obchodził zebranych widzów. Czy tylko zbierze czterdzieści franków? Było to pytanie ściskające mi serce, a tymczasem uśmiechałem się do publiczności z najpowabniejszą na jaką mnie stać było miną.

Zaczynało mi już tchu brakować lecz ciągle jeszcze tańczyłem, gdyż wówczas dopiero miałem przestać gdy Capi powróci z pieniędzmi; ale on nie spieszył się wcale i gdy mu nic nie dawano uderzał łapą w skąpo zamkniętą kieszeń, czekając by się otworzyła. Nakoniec Capi powracał i miałem już przestać, gdy Vitalis dał mi znak by zacząć na nowo, tańcząc zbliżyłem się do psa i zobaczyłem, że dużo jeszcze brakowało do napełnienia miseczki. W tej chwili Vitalis śledzący również kwotę zebraną przez pudla, podniósł się z miejsca.

— Jak sądzę — odezwał się — możemy sobie przyznać bez pochlebstwa, iż wypełniliśmy wszystko co zapowiadał program, lecz gdy świece nasze nie wypaliły się jeszcze, mogę więc, jeżeli to jest życzeniem szanownej publiczności, zaśpiewać kilka pieśni; Capi raz jeszcze uda się z miseczką, a spodziewam się, że osoby które za pierwszym razem nie trafiły do swych kieszeni, teraz będą może zręczniejsze i szczodrobliwsze; uprzedzam je zawczasu by się przygotowały.

Aczkolwiek Vitalis był mym nauczycielem nie słyszałem go nigdy naprawdę śpiewającym, a przynajmniej tak, jak śpiewał owego wieczora.

Pan mój wybrał dwie arje z oper dobrze wszystkim znanych, lecz których ja nie znałem wówczas jeszcze; jedna była z „Proroka“ druga z „Trubadura“.

W owym czasie nie byłem ja wstanie ocenić czy kto śpiewał źle lub dobrze, uczenie lub bez metody, lecz nie mogę wypowiedzieć uczucia jakie we mnie śpiew jego wzbudził: oto cofnąwszy się w kąt sceny zalewałem się rzęsistemi łzami.

Poprzez mgłę łez zasłaniającą mi oczy, widziałem, że siedząca w pierwszym rzędzie młoda jakaś pani, biła oklaski z całych sił swych delikatnych rączek. Zauważyłem ją już przedtem, gdyż nie była to wieśniaczka jak te wszystkie z których składała się nasza publiczność. Była to prawdziwa pani piekna i młoda, a jak wskazywało kosztowne jej futerko, zapewne i bogata także. Obok niej siedział mały chłopczyk, również szczodry w oklaskach dla Capi, a zapewne synek pięknej pani, bo niezmiernie do niej podobny.

Skoro Vitalis prześpiewał pierwszą arję, Capi znów rozpoczął wędrówkę z miseczką i niezmiernie zdziwiony zauważyłem że piękna pani nic mu nie dała. Po skończeniu arji z „Trubadura“, skinęła na mnie i zbliżyłem się do niej:

— Pragnęłabym mówić z twoim panem, — rzekła.

To żądanie zdziwiło mnie cokolwiek, według mnie, lepiej byłaby zrobiła, wkładając pieniędzy do miseczki, pomimo to przecież poszedłem powtórzyć Vitalisowi dane mi zlecenie; w tej chwili też właśnie powrócił do nas Capi, przynosząc mniej jeszcze zebranych groszaków, aniżeli pierwszym razem.

— Czego chce odemnie ta pani, — zapytał Vitalis.

— Mówić z panem.

— Ja jej nie mam nic do powiedzenia.

— Ależ ona nic nie dała Capi, może chce dać teraz.

— W takim razie Capi powinien iść do niej ale nie ja.

Nakoniec zdecydował się i poszedł, lecz zabierając zarazem pudla ze sobą.

Posunąłem się za niemi.

Tymczasem służący z latarnią i ciepłą kołdrą na ręku, stanął opodal pani i dziecka.

Vitalis zbliżył się, składając chłodny ukłon.

— Przebacz pan, że go trudziłam, — odezwała się piękna pani, — lecz chciałam mu powinszować.

Vitalis skłonił się powtórnie w milczeniu.

— Znam sama muzykę, — ciągnęła pani dalej, — pojmiesz pan więc, jakie wrażenie wywarł na mnie tak znakomity jak pana talent.

Znakomity talent u mego pana, u Vitalisa, ulicznego śpiewaka, kuglarza pokazującego uczone psy? Osłupiałem.

— Nie może być talentu u takiego jak ja starowiny, — odparł Vitalis.

— Nie sądź pan, iż mną kieruje prosta ciekawość tylko, — dodała pani.

— Owszem, najzupełniej gotów jestem zadowolnić ją; zapewne byłaś pani zdziwioną usłyszawszy jakkolwiek śpiewającego ulicznego kuglarza?

— Zdumioną.

— A jednak nie ma w tem nic nadzwyczajnego, nie zawsze byłem tem czem dziś jestem; niegdyś w mej młodości, dawno już temu, byłem... tak, byłem służącym sławnego śpiewaka i naśladując jak papuga, wyuczyłem się kilku arji, w których pan mój egzercytował się przy mnie, ot i wszystko.

Pani nieodpowiadając już, utkwiła przeciągłe spojrzenie w twarzy Vitalisa, stojącego przed nią w postawie nieco zakłopotanej.

— Do widzenia panie, — rzekła powstając i kładąc szczególniejszy nacisk na wyrazie panie; do widzenia i pozwól sobie raz jeszcze podziekować za przyjemność jakiej doznałam. Poczem nachyliwszy się ku pudlowi, włożyła w miseczke złotą sztukę.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński. Z drukarni K. Pillera.